

PUNCAK JAYA

nie wiedziałem, co to dzungla...



Suangaama (2250 m n.p.m.) – wieś na wyspie Papua Nowa Gwinea

Ostatni dzień ekspedycji, po 400 km przedzierania się przez niegościnną dzunglę, zapowiadał się gorący i parny, choć jak zwykle na wyspie padało całą noc. Po wyjściu z Suangaamy, Peter, nasz przewodnik potknął się o wystające korzenie ogromnego drzewa, rosnącego przy zakręcie góry, obsunął na zboczu i boleśnie poturbował. Zdążyłem tylko sobie przypomnieć, że do 70% nieszczęśliwych wypadków dochodzi właśnie przy schodzeniu z gór, gdy nasza jedyna kobieta na wyprawie – Kasia – weszła na zwalony pień drzewa, służący za prowizoryczny mostek do przeprawy przez wąwóz, w dole którego płynął potok, poślizgnęła się na mokrej korze, zamachała rękami, próbując złapać jakąś niewidoczną poręcz i runęła w dół...

Jakarta – 16 dni wcześniej

Skład naszej ekspedycji na Carstensz Pyramid (4884 m n.p.m.) – najwyższy szczyt Australii i Oceanii oraz najwyższy szczyt na Ziemi znajdujący się na wyspie – to zahartowany w górskich bojach zespół. Są 4 osoby z Polski (Kasia, Paweł, Staszek, Zbyszek), 3 Czechów (wszyscy Petrowie) Francuz Michel i Serb Basar. Lecimy samolotem rejsowym ze stolicy Indonezji – 12-milionowej Jakarty – do Timiki, małego miasta leżącego na skraju zielo-

nej Papui Nowej Gwinei, a dalej małą, wyczarterowaną awionetką do Sugapy – wsi położonej na 2200 m w górach Sudirman, otoczonych niedostępną dzunglą.

Sama Papua to wręcz neolityczna enklawa, która przetrwała nie tylko dzięki odległości, dzielącej ją od reszty świata i nieprzyjaznej przyrodzie, ale ze względu na złą sławę jej mieszkańców, którzy zasłynęli jako okrutni wojownicy, łowcy głów i ludożercy. O skali trudności, które napotkali pierwsi badacze mogą świadczyć tylko nazwy, jakie Holendrzy nadali dwóm rzekom przy pierwszych próbach kolonizacji w 1902 r.: Moordenaar – Morderca i Doodslager – Rzeźnik. Po wylądowaniu na prowizorycznym betonowym pasie na grzbiecie pośrodku Gór Śnieżnych czeka już na nas ogromny tłum Papuasów.

Jako biali stanowimy duże urozmaicenie w życiu wsi i każdy chce się załapać na tragarza, i zarobić trochę pieniędzy. W pewnym momencie wszyscy rzucają się na nasze bagaże, powstaje taki zamęt, że mało brakowało, a potracilibyśmy cały sprzęt i żywność i tylko dzięki policji i naszemu przewodnikowi udaje się opanować tłum. Schodzimy do wsi, gdzie w byłym domku misjonarzy mamy spędzić pierwszą noc zanim załatwimy portersów (tragarzy) i zarejestrujemy naszą grupę na tutejszym posterunku policji. Wszyscy nas bacznie obserwują, wiadomo, biali ludzie zdarzają się tu bardzo rzadko. Większość dotych-



czasowych wypraw na Puncak Jaya – jak nazywają Carstensz Pyramid Indonezyjczycy a Sukarno, czyli Papuasi, wyruszyła z drugiej strony gór, przez Freeport i kopalnie złota (dziennie wydobyte to ok. 10 mln \$, a zasoby są takie, że można kopać 24 h na dobę przez 50 lat i nie skończą się).

Następnego dnia rano z portersami wyruszamy przez dżunglę do Suangaamy – wsi, w której wymienimy tragarzy na właściwą ekipę towarzyszącą nam podczas całej podróży, choć jak mawia nasz przewodnik: „Tu nic nie jest na pewno”. Rano wita nas słonecznie, choć to tutaj rzadkość – podczas pobytu na wyspie odczułem, że pada tu od 00.15 do 23.45. Średnia temperatura nie przekracza w górach 10°C. Przydzieleni są nam do ochrony 3 uzbrojeni w karabiny wojskowi, choć jak się później przekonujemy, Papuasi to jedni z najserdeczniejszych i najpogodniejszych ludzi na świecie, a wszystkie te opowieści o kanibalizmie należą już do zamierchłej przeszłości, choć można twierdzić że większość z 45-latków (średnia długość życia Papuasów) próbowała kiedyś ludzkiego mięsa.

Dżungla Nga Palu 3450 m n.p.m. – 4 dni do ataku szczytowego

Każdy dzień zaczynamy o świcie ok. 5:00 rano: pakowanie namiotów, szybki posiłek na maszynie gazowej i w drogę. Deszcz i błoto dają nam się ostro we znaki, do tego dżungla w górach jest tak trudnym terenem do przejścia, że zabiera nam wiele sił przedarcie się przez płątaniny lian i korzeni. Błoto sięga czasami do kolan, przechodzimy dziennie przez ok. 20 rzek i potoków, czasami po prowizorycznych palach, a czasami w bród. Silne opady deszczu sprawiają, że coś, co jeszcze wieczorem było niewinnym potokiem, rano jest rzeką występującą z koryta. Nurt jest bardzo silny i musimy uważać, aby nikogo nie porwała woda. Wędrujemy dziennie ok. 25 km przez 10 godzin.



Nic nie sennie, a wszechobecne błoto wyszarpuje z nas siły i wolę walki. Każdy ruch wymaga dużego skupienia, bo nie wiadomo, czy konar na którym za chwilę stanimy leży tu od wczoraj, czy już od 50 lat i się pod nami nie zarwie. Z drzew na spadochronach lądują na nas pijawki, które tak ciężko odebrać, że trzeba je odcinać nożem.

Jeżeli w porę się nie zorientujemy, opijają się naszą krwią jak balony i zostawiają niegojącą się ranę. Nasi portersi są nam bardzo pomocni. Przemierzają dżunglę na bosaka, co nam bardzo imponuje i to mobilizuje nas jeszcze bardziej do walki z tym niegościnnym terenem. Po całodziennych wędrówkach, wieczorem padamy ze zmęczenia, z ledwością rozstawiamy namioty pośrodku chaszczki i zarośli, przyrządzamy posiłek i zasypiamy w okamgnieniu. Nawet nie chce myśleć, jaki wąż lub pajak wypelza tutaj na żer. (Tajpan papuański, Zdradnica śmiercionośna, Czarna wdowa są jednymi z najbardziej jadowitych na naszym globie). Tragarze mieszkają w szafasie (brezentowa płachta naciągnięta na prowizoryczny, drewniany szkielet), w którym palą ogniska i przy których czasami wspólnie się suszymy. Często coś zaśpiewamy; repertuar powalający: od 4 pancernych po pszczołkę Maję, to ich ośmiela do śpiewania swoich pieśni. Patrząc na górskie szczyty w oddali, myślę, że potwierdza to tylko tak naprawdę, że nikt tutaj nie jest inny, lepszy lub gorszy, wspólnie tworzymy jedną zgraną drużynę.

W diecie tubylców znajduje się ryż, pataty (rodzaj słodkiego ziemniaka) oraz ptaki, na które codziennie polują. Oni częstują tym nas, my ich swoim liofilizowanym jedzeniem – klimat jest przedni. Zabawne wydało się mi porównanie między nimi a nami. Przed wejściem do dżungli my byliśmy czysti, pachnący, w nowych outdoorowych, oddychających ubraniach, oni – ubłoczone ciała i poszarpane ubrania, poczochrane włosy. Po wyjściu już się niczym nie różniliśmy...

Base Camp (4330 m n.p.m.) – atak szczytowy

Po 8 dniach wędrówki, a raczej szarpania z dziką przyrodą przy świetle czołówek o 2.00 w nocy, wyruszamy na atak szczytowy przez New Zealand Pass. Krótka narada co, kto i jak i w drogę. 1,5-godzinny marsz do 400-metrowej pionowej ściany, skąd rozpoczniemy wspinaczkę po skale, upływa w ciszy. Każdy stara się skupić, aby w ostatniej fazie nie popełnić błędu, który może nas kosztować to, co najcenniejsze – życie. Wpinamy nasze jumary (przrzędy asekuracyjne) w liny poręczowe i w górę. Tempo dość ostre, tak jak i ściany skalne, które tną nam bezkompromisowo rękawiczki i dłonie przy wspinaczce.

Nagle słyszę w ciemności z góry krzyk „Kamień!” . Przylegam odruchowo do ściany, Peter poniżej mnie nie zdąża, dostaje nim w twarz i mimo że nosimy kaski, nie ratuje go to od ciosu. Na szczęście wielkość odłamka nie była znacząca, oko jest w porządku i po opatrzeniu Czech z Moraw chce kontynuować wspinaczkę. Temperatura oscyluje w okolicach -5°C, ale wiatr potęguje odczuwalne zimno, przez co drzewieją ręce, a oddech staje się coraz krótszy, choć stopniowa aklimatyzacja przez te wszystkie dni sprzyjała. Pomału świt rozprasza mrok, wilgotna ściana czasami przechodzi w komin i daje to po zablokowaniu ciałem moment na odśapnięcie. Już o świcie wchodzimy na grań, po której są rozciągnięte poręczówki, ale i tak musimy uważać – ślisko jak diabli, sił coraz mniej, a o błąd nietrudno. Dochodzimy do jednego z najcięższych odcinków – rozwieszanej 20-metrowej liny nad 100-metrową przepaścią. Wpinamy w nią pojedynczo karabinki HMS, które mamy przy uprzążach i silnymi ruchami rąk przesuwamy się pod górę. Potrzeba dużego przełamania psychicznego, aby zaufać obcej linie. Wiele osób w tym miejscu podobno się wycofuje. Jeszcze 300 m i jest... Wymarzony i upragniony wierzchołek. Wszyscy reagujemy entuzjastycznie; dla Serba Basara, jako pierwszego obywatela byłej Jugosławii, jest to na dodatek zakończenie jego „Korony Ziemi”, więc radość jest podwójna. Seria fotek, wzajemne gratulacje i schodzimy w dół. Operacja równie trudna, co i niebezpieczna.



Powrót przez dżunglę do cywilizacji jest jeszcze bardziej wyczerpujący. Duże brawa dla naszej Kasi, która jako pierwsza kobieta pokonała tę 400-kilometrową morderczą drogę tam i z powrotem. Jesteśmy już przemęczeni, wszystko nas boli, mamy poranione ręce i nogi od skal i korzeni, nic w tym klimacie nie chce się goić. Do końcowej wsi dochodzimy skrajnie wyczerpani. Średnio każdy z nas schudł podczas ekspedycji ok. 8 kg – 10-godzinny codzienny wysiłek i nieregularne, niskokaloryczne posiłki zrobiły swoje.

Wypadek, który przydarzył się ostatniego dnia naszej kobiecie, mógł przytrafić się każdemu z nas, a okazał się na tyle szczęśliwy, że skończyło się na skręceniu nogi i rozciętej głowie. Katarzyna spadła w 4-metrowy wąwóz, głową minęła wielki głaz leżący na dole tylko o parę centymetrów. Plecak zamortyzował upadek, a całą siłę uderzenia przyjęła 2-litrowa aluminiowa butelka na wodę, która po ciosie wyglądała jak pomięta kartka papieru i aż strach pomyśleć, co by było, gdyby to stało się dużo wcześniej. Transport rannego w dżungli jest prawie niemożliwy, a o helikopterze w tamtych warunkach nawet nie ma co marzyć.

Moim zdaniem sam szczyt dla wysportowanej osoby z przeszkoleniem alpinistycznym nie stanowi dużego problemu, ale droga przez dżunglę w górach to już ciężkie zadanie. Jeżeli ktoś ma ochotę sprawdzić samego siebie, to gorąco polecam, ale i ostrzegam, że to ogromnie trudne wyzwanie. Spoglądam teraz na dłoń, w której trzymam kawałek skały, zabrany ze szczytu i przypominający mi w codziennym życiu, jak ogromny wysiłek czasami musimy pokonać w drodze do zamierzonego celu, a kroki, które stawiamy są małe i prawie niewidoczne, ale z każdą chwilą przybliżają nas do zwycięstwa. Entuzjazm i determinacja zawsze zatriumfują nad talentem połączonym z lenistwem i wiem, że warto walczyć o to, co wymarzone. Będąc w górach, nie zapominajmy też o niebezpieczeństwie, które czyha na nas nie tylko podczas wędrówki, ale w szczególności podczas powrotu. Życzę tyle samo zejść, co i wejść. I do szybkiego... •

i PORADY

- Najlepiej jechać w październiku lub marcu, bo najmniej pada w górach, choć i tak opady są bardzo obfite. Warto dodatkowo zabrać, oprócz osobistego ekwipunku i ubrania wodoszczelnego, wysokie kalosze, buty trekkingowe tylko na wysokie góry, kijki trekkingowe do pokonywania potoków, solidną pałatkę przeciwdeszczową, dobrze wyposażoną apteczkę osobistą (antymalariaty konieczne).
- Woda jest tutaj niezdatna do picia, więc trzeba ją przegotowywać i uzdatniać odpowiednimi środkami. W Jakarcie warto kupić kartusze gazowe, można je przewieźć samolotem, bo tutejsza benzyna do niczego się nie nadaje.
- Małe banknoty 1,2,5 \$ wyprodukowane po 2003 r., którymi też można płacić.
- Indonezja i Papua to skorumpowany kraj, więc trzeba się nastawić na łapówki i załatwienie mnóstwa pozwoleń na trekking od wojska i policji, a i tak „nic nie jest na pewno”. Mało kto zna tutaj język angielski, więc warto nauczyć się podstawowych słów w języku indonezyjskim.
- Transport jest tutaj mocno ograniczony i dość drogi, więc po dotarciu na wyspę, trzeba bardzo improwizować.

